№ 20.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 5. Października.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Parobek jeden, który z Westfalii przesiedlił się do Stanów Zjednoczonych amerykańskich i mieszka w mieście Cincinnati pisze list do swoich krewnych, w którym niezmiernie się cieszy nad położeniem swojém. Wszystkie jego wychwalania tamecznego szczęśliwego stanu rzeczy kończą się na punktach: 1) że tam człowiek potrzebuje tylko 12 godzin pracować w lecie na dzień, aby żył dobrze w zimie. 2) że wszyscy ludzie są równi.

Szczęście więc jego całe uzasadnia się na tém, aby nie być przeciążonym pracą, i aby nie doznawać od drugiego poniżenia. Zdaje się, że parobek ten, objawiając uczucia swoje, trafił zupełnie w dążność ludzkości; powiedział dwa punkta, które wzięte za cel cywilizacyi, całą ludzkość są w stanie doprowadzić do stanu, jakiego obraz jest u nas dzisiaj jeszcze uważany za wyrojenia poetyczne. Pomyślmy sobie ludzi, którzy przy pracy dwunasto-godzinnéj podczas lata mają zapewnione utrzymanie na zimę: czyż nie będą oni tak zamożnymi, że ich pomieszkanie, jadło, odzież, wszystko musi porządnie i dobrze wyglądać. Czyż będą pomiędzy niemi dzieci, które nie chodząc do szkoły, bijąc się tylko po ulicach, żebrząc od młodości, nabędą złych obyczajów, a z biedy i pijaństwa puszczą się na kradzież i z czasem na rozboje. Ten, który u nas urodził się w domu poprawy, słyszał całe życie tylko o zręcznem wyciąganiu pieniędzy z cudzéj kieszeni na jarmarkach, przetapianiu sreber połupionych z ołtarzy, wykręcaniu się przed sędziem kryminalnym, a nie odebrał wychowania od ludzi znających serce ludzkie: czyliż może zostać uczciwym człowiekiem? jeżeli nie jest jaką nadzwyczajną istotą. Z pewnością nie. Ileż zaś naszych domów po przedmieściach miast większych i mniejszych, ileż chat po wsiach odartych, niczém się nie różnią od domów poprawy. Rozpatrzywszy się we wzrastającéj liczbie ubóstwa, którego pierwszym skutkiem jest pijaństwo i dalsza demoralizacya, a nareszcie zbrodnie, musimy przyznać, że gdyby wychowanie bardziéj było rozpowszechnioném, mniéjbyśmy mieli zbrodniarzy. Zbrodnia pociąga kary, a tymczasem okoliczności niejednego robią zbrodniarzem, niejako prawa go zmuszają do wyjścia z szeregów uczciwego człowieka. Słychać często skargi, że przed sądem łatwo się każdemu wykręcić, że złodzieje niedosyć ostro bywają karani. Kto atoli rozważy powody kradzieży, demoralizacyi, ten musi przyznać, że daleko większa część kar nie są w istocie karami, ale są tylko prześladowaniem człowieka w wieku starszym, dla tego, że już prześladowało go od młodości społeczeństwo, w którém się urodził, które pozostawiło go na pastwę złemu przykładowi, nie dbało o naprawę jego serca, puściło go w świat bez chleba i wszelkich sposobów do zarobienia sobie na chleb. Mnożą się kary po wszystkich krajach Europy, rozprawiają kryminaliści i niekryminaliści, w jakim celu, na co jest kara, a tymczasem zbrodni codziennie przybywa, kar więcéj i więcéj wymierzać trzeba. Dochodzimy dziś podobno do pytania, którego rozstrzygnięcie jest ważne, a bardzo wątpliwe, to jest: czy domy karne pomnażają, czyli też wytępiają zbrodnie? Okropna to jest wątpliwość, kto o niéj pomyśleć umie, kto skutki przewiduje, a cóż dopiero jeżeli wyrok padnie: domy karne tylko pomna-

żają zbrodnie. Jakiż wtedy rozum ludzki potrafi obmyślić hamulec na zbrodnię. Podobno niepotrafi obmyślić żadnego. Trzeba więc myśleć o tępieniu zbrodni nie w owocu, który już ma pestki na rozradzanie, ale z zawiązku. Nad starym złodziejem nie masz się po co pastwić, dosyć go tylko nieszkodliwym uczynić, ale młodemu złodziejstwu trzeba kłaść zapory — trzeba od dzieciństwa każdego w społeczeństwie ku uczciwości prowadzić. Trzeba ludzi trzymać w pracy, aby każdy na siebie zapracował, aby nikt nie trawił dwadzieścia godzin na hulance w ciągu doby dla tego, że drugi od dźwigania ciężkich kamieni, od bicia młotem, tylko cztery godziny w dobie ma wolnego spoczynku. Tam gdzie wnijdzie ten szczęśliwy stosunek, który się tak podoba parobkowi westfalskiemu, że tylko dwanaście godzin codziennie przez lato pracować potrzebuje, aby żył wygodnie w zimie, gdzie czeladź nie rznie w późną noc sieczki, aby po kuchni nie swawoliła, i gdzie o 3. zrana do sieczki wstawać nie musi, tam mogą żyć ludzie bez zbrodni, mogą się pomiędzy sobą kochać; tam społeczeństwa swego wspólnie bronić będą, tam jeden drugiego nie będzie w domu rabował i mordował. Tam między panem i sługą podobne jest braterstwo, podobna jest myśl do jednego celu.

Czynić wyrzuty dziś ubogiemu ludowi, chłopom, jest to powtarzać tylko jeremiady na przeszłe wieki, wywodzić żale przeciw średniowieczności, opłakiwać, że jéj odrostki jeszcze się pomiędzy nami puszczają. Mądry nie płakać i wygadywać na nię, ale zapobiegać jéj będzie.

Cieszy się parobek westfalski, że w Ameryce wszyscy ludzie równi. I w Europie o równości każdy prawi, ale każdy niemal powiada, że przecież między intelligencyą, jak uczenie wyrażać się jest obyczaj, a nieokrzesaniem różnicę robić trzeba, choćby nie z innéj, to z téj ważnéj przyczyny, że między oświeconymi tylko na prawość liczyć można, a im bardziéj się na dół schodzi, tém rzadszém zjawieniem rzetelność. Ale cóż jest ta intelligencya, oto jest to od dzieciństwa wygoda życia pieniędzmi okupiona, jest to nauka w szkołach pieniędzmi opłacona, jest to podróż przez dalekie kraje po żelaznych kolejach i statkach parowych za pieniądze odbywana, jest to biblioteka znacznemi pieniędzmi zgromadzona, jest to obcowanie z ludźmi, którzy mieli pieniądze na ukształcenie swego ducha. Jeżeli nie ma ten prawa do dumy, do podnoszenia się nad drugich, co wygrał los wielki na loteryi, to też nie ma prawa i ten co oświatą celuje. Kto wie czy nawet nie mniéj daleko, niż zwycięzca loteryjny, bo on może tym tylko sposobem wyszedł na oświeconego, na uczonego, że nie sam, ale jeszcze ojciec jego wygrał na loteryi i mógł o dobrém dla syna pomyśléć wychowaniu.

Krzyż nadwiślański.

Powieść *Leona K.....*

(Ciąg dalszy.)

— W istocie, jest panom czego powinszować — odezwał się głos trzeci tuż za niemi. — Kazimierz obrócił się z podziwieniem — a Gregórz zmarszczył brwi gniewliwie, skoro w przybyszu poznał podróżnego, którego spotkał u krzyża.

— Pan jeszcze tutaj? zapytał przechodnia.

— Nie mógłem trafić do przewozu, zabłąkałem się trochę, widząc panów udających się tutaj, chciałem się zapytać o drogę, aleście stanęli na stanowisku, nie chciałam przeszkodzić, stanąłem opodal, ale i tak, dodał obracając się do Kazimierza mimo méj woli strąciłem kamień nogą do wody, i może tém przeszkodziłem panu do strzału — jeżeli tak, to szczerze przepraszam.

Nieznajomy mowił z taką pewnością, tłomaczenie jego było tak naturalném, że obu myśliwym nie podobna było wątpić o jego prawdziwości.

— O, nic wielkiego się nie stało, mówił Kazimierz z uśmiechem. Polowanie pomyślne, bo zwierzyna zabita. — No, o czém myślisz panie Grzegorzu — strzał był wyśmienity — a teraz trzeba wracać do domu — wszak pan będziesz łaskaw nam towarzyszyć, dodał, zwracając się do podróżnego.

— Ja.... z przyjemnością — odrzekł nieznajomy.

Kazimierz z przyjazną serdecznością podał mu rękę i daléj prowadził rozmowę.

— Może pan za złe weźmiesz moją ciekawość, ale daruj, że się spytam, czy tylko przypadkowo zatrzymałeś się w tych miejscach, które okropny wypadek pamiętnemi uczynił? — Pan Gregórz mówił mi, że pana zastał modlącego się przy czarnym krzyżu....

Cień przy drodze stojących drzew ukrył wyraz, który przybrała twarz podróżnego na to nagłe zapytanie.

— Byłem w młodości w tych miejscach, odrzekł spokojnym głosem, chciałem im się przypatrzyć po tak długiém niewidzeniu.... ale oprócz tego inny jeszcze

powód mnie skłaniał, przyrzekłem przyjacielowi z którym się znałem za granicą, że wróciwszy do ojczyzny odwiedzę te miejsca, że się pomodlę pod tym krzyżem; mój przyjaciel zowie się.... Stanisław Linowski.

— Stanisław Linowski, zawołał Kazimierz, nieubłagany wróg naszéj rodziny. — Ach ten człowiek uczynił nam wiele złego, rzucił potwarz okropną na mojego dobrego ojca.

— Bóg go osądzi — odrzekł zimno nieznajomy.

— O, on też poczęści temu nie winien — mówił daléj Kazimierz, ale jego krewni, a najbardziéj stryj pułkownik, oni to pozwolili mu uwierzyć fałszywym wieściom, podniecali zemstę w jego młodém sercu. — O! to okropnie.... gdzież jest teraz młody Linowski — nieuwierzysz pan jak los jego obchodzi nas wszystkich. Niewiem czy panu wiadomo, że rząd skonfiskował dobra po kasztelanie. Ojciec mój kupił Wierzbnę, wieś w któréj mieszkał kasztelan, jedynie w tym celu, aby ją zwrócić młodemu Stanisławowi, pisał do niego pare razy, ale odpowiedzi nie odebrał.

O ile znam Stanisława Linowskiego, to sądzę go zanadto dumnym, aby miał cokolwiek od kogoś przyjmować.

— Ach ileż razy, mówił Kazimierz z wzruszeniem, pragnąłem poznać młodego Stanisława i pomówić z nim rozsądnie o wypadkach tak bolesnych dla nas obu.

Tą razą pan Grzegórz, który idąc opodal zdawał się uważnie słuchać rozmowy młodzieńców, zbliżył się i zawołał na wpół gniewnie: że też ty zawsze lubisz odnawiać te stare dzieje Kazimierzu, dajmy już raz pokój temu, co nas mogą obchodzić bajki rozgłoszone przez niegodnych ludzi.

Kazimierz opuścił głowę i wpadł w zamyślenie — tymczasem jego towarzysz od kiedy ku wsi zbliżać się zaczęli, z podwojonėm zajęciem rozpatrywał się koło siebie. Zmrok nocny pokrywał cieniem twarz jego, na któréj się wybijały najrozmaitsze wzruszenia, często zwalniał kroku, aby się zatrzymać przy drodze, przyjrzyć się chatom, co z pochylonemi strzechami przeglądały z pomiędzy grusz polnych i płotów żywych — a kiedy wieś mijali i weszli na drogę prowadzącą do dworu, młodzieniec zdawał się wszelkich sił dobywać, aby pokryć wzruszenie i przybrać wyraz obojętny. — Kazimierz przerwał milczenie, odzywając się przyjacielsko:

— Pozwól pan, że w imieniu moich rodziców ośmielę się ofiarować mu w naszym domu gościnność, — miło mi będzie jeśli ją przyjmiesz i dowiedziesz, że nie odrzucasz przyjaźni, którą ci z serca przy pierwszém poznaniu ofiaruję.

— Całém sercem gotów jestem przyjąć twoją grzeczność, bo chciałbym cię przekonać, że sobie umiem cenić przyjaźń którą mi dajesz.

Młodzi ludzie uścisnęli sobie ręce z tą prawdziwą serdecznością, co tak rychło powstaje w młodych nieskażonych sercach nieraz przy pierwszém zbliżeniu.

Na zakręcie drogi śród topoli mignęła biała sukienka i wkrótce głos słodki na wpół dziecinny odezwał się nieśmiało.

— Kaziu, czy to ty?

— Tak, to my Maryniu.

— Tak długo trwało to polowanie, mama była niespokojną — i mówiąc to młoda dziewica, przystępowała bliżéj; w tém spostrzegła nieznajomego, zatrzymała się chwilę, na jéj lica wystąpił lekki rumieniec, krzyknęła cicho, zwróciła się i pobiegła jak sarna spłoszona, znikając wkrótce śród drzew przydróżnych.

— Maryniu! Maryniu! — napróżno wołał Kazimierz. — To była moja siostra — dodał z uśmiechem, obracając się do swego towarzysza, który pogonił wzrokiem za znikającą dziewicą — trochę dzika, zwyczajnie jak wiejska dziewczyna, ale dobra, i lubią ją wszyscy we wsi jak anioła — i Kazimierz z braterską dumą zaczął wynosić przymioty swojéj ładnéj siostrzyczki.

Młodzieńcy minęli wrota i wchodzili na podwórze. — Podróżny wodził okiem koło siebie, wzrok często przenosił od białego nowego dworu do poczerniałych ścian starego pałacu, który się wznosił w końcu ogrodu pomiędzy ciemnemi świerkami. — W zamyśleniu swojém nie postrzegł starca wyniosłéj postaci, o siwych włosach, który schodząc z ganku, postępował naprzeciw przybyłym, dopiero gdy Kazimierz przedstawiając podróżnego, wyrzekł:

— Mój ojciec.

Młodzieniec wyraźnie zadrżał na te słowa, a po chwili jakby zbierając całą moc duszy, odpowiedział po kilku urywanych słowach na uprzejme wyrazy gospodarza — tylko w swojém roztargnieniu zdawał się nie uważać, jak starzec z wiejską szczerotą podawał mu rękę.

W pokoju skromnie a czysto urządzonym siedziała pani domu w podeszłym wieku, w jéj twarzy zoranéj zmarszczkami przebijała się dobroć i łagodność, przy bliższém dopiero przypatrzeniu uderzały jéj oczy nieruchome w jednę zwrócone stronę; — biedna staruszka była niewidomą — tuż przy niéj stała szesnastoletnia Marynia z oczami spuszczonemi, niekiedy rzucając nieśmiałe spojrzenia ku drzwiom, w które właśnie wchodził ojciec z bratem i gościem.

Staruszka powstała. — Niech pan wybaczy — rzekła miłym głosem — staréj niewidoméj, która go nie może przyjąć tak jakby chciała, niemniéj jednak miłe nam jest przybycie pańskie w dom nasz.

Młodzieniec skłonił się, obraz téj rodziny tak prostéj, tak patryarchalnéj — téj matki niewidoméj — córki tak anielsko-pięknéj, musiał na nim silne uczynić wrażenie, bo mimowolnie zmarszczył czoło i wzrok jego zachmurzył się od przelotnego żalu, dopiero gdy ujrzał w końcu sali dwoje ponurych oczu p. Grzegorza utkwione w siebie z ciekawym wyrazem — stłumił wzruszenie i zaczął obojętną rozmowę o polowaniu dzisiejszém. — Wkrótce rozmowa stała się powszechną i ożywioną. — I przy wieczerzy młodzieniec który wszelkich dokładał starań aby się podobać rodzinie, co go tak mile przyjęła — już był tak zbliżony do wszystkich, jakby się znał oddawna i był codziennym gościem. — Tylko p. Grzegórz nie podzielał ogólnéj rozmowy, patrzał niekiedy ukradkiem i w milczeniu pokręcał szpakowate wąsy. Zanim wstano od stołu, już młodzieniec zobowiązany uprzejmością starego Jastrzębskiego i zaproszeniami Kazimierza musiał przyrzec, że parę dni w Wierzbnéj zabawi, a ta obietnica z jego strony widocznie uradowała całą rodzinę.

Pora była spóźniona — niedługo przyszło do pożegnań i życzenia dobréj nocy. — Kazimierz zbliżył się do swego nowego przyjaciela.

— Kochany Bohdanie (bo tak się kazał nazywać) nasz domek wiejski nie bardzo obszerny, przeznaczono ci pokój w pałacu, musisz wybaczyć i przyjąć jaki jest; jeśli pozwolisz, to cię zaprowadzę.

Obaj wyszli do ogrodu i przez szpaler ciemny grabowy zbliżali się do pałacu, który na nie wielkiém wzgórzu pośród lip i świerków starych stał tyłem obrócony ku rzece. — Było coś smutnego, posępnego w widoku tych murów starych, tych okien nawpół wybitych, pozastawianych deskami.

— Od czasów kasztelana — mówił Kazimierz, wstępując na obszerny ganek, podparty kamiennemi filarami — pokoje i sprzęty zostały tak, jak były za jego życia. — Ojciec mój nie kazał nic ruszać, jeśli młody Linowski kiedy powróci, to wszystko znajdzie w dawnym stanie — no, otóż wchodzimy do sieni — tu na dole gdzie drzwi otwarte to twoja kwatera. — Dobranoc ci — musisz być bardzo zmęczony, na twarzy twojéj widać znużenie — no, śpij dobrze — i wybiegł nucąc piosenkę.

Młody podróżny został się sam w komnacie, oczy jego zwróciły się ku ścianom z wzruszeniem, którego już teraz ukrywać nie potrzebował. — Była to widać kiedyś izba jadalna, w kącie stał przy drzwiach zegar staroświecki, naprzeciwko biórko wysokie z kilku zapylonemi książkami, po ścianach kontuszowe wąsate postacie snać przodków kasztelana, nad kominkiem wisiał Puławski w konfederackiéj czamarce obok Kościuszki w sukmanie. Młodzieniec zwracał się kolejno do wszystkich przedmiotów i wszystkie witał kolejno jak dawne znajome. — Poszedł ku drzwiom co prowadziły do dalszych pokoi, szybko porwał za klamkę, lecz drzwi były zamknięte i stał niewzruszony z bijącém sercem przez długą chwilę, potém bezsilny upadł na łóżko i wyrzekł z westchnieniem: ta zemsta drogo kosztować mnie będzie.

III.

Dla niéj swojego wyrzekł się Boga,
Ale czy zemsty zapomni?

Odyniec.

Upływały już dnie i tygodnie od czasu przybycia młodzieńca pośród rodziny Jastrzębskich: szybko ubiegał czas w miłéj wiejskiéj ustroni, osłodzony szczerą uprzejmą gościnnością. Bohdan prędko potrafił sobie zjednać serca całéj rodziny. — Ze starym Jastrzębskim umiał pomówić o gospodarstwie, o wojnach napoleońskich, staruszce miał zawsze co do powiedzenia o obcych dalekich krajach, które zwiedził niedawno, dla Kazimierza, który go jak brata pokochał był serdeczny, przyjacielski, Marynię, z którą podobno najwięcéj przestawał, tak ładnych piosnek powyuczał. — To też polubili go wszyscy, i młodzieniec musiał dzień po dniu zwlekać chwilę odjazdu na szczere prośby swoich gospodarzy.

Lecz wkrótce najmniéj przenikliwe oko było w stanie odkryć powód, dla którego Bohdan nie spieszył się z odjazdem; młoda Marynia widać silne na nim zrobiła wrażenie; na przechadzkach, przy fortepianie był jéj nieodstępnym towarzyszem, i nieraz z tak szczególnym wyrazem wpatrywał się w tę twarz niewinną dziecięcą; nie raz siedząc przyniéj, zdawał się nie słyszeć zapytań Kazimierza i opowiadań staruszki, a ile razy przyszło mu podać młodéj dziewicy rękę na przechadzkę, nie mógł pokryć wyraźnego wzruszenia, wszystkie te drobnostki co zdradzają miłość choćby najstaranniéj ukrywaną, nie uszły zapewne uwagi Jastrzębskiego, lecz starzec nadto widać ufał swemu gościowi, aby miał mu brać za złe, że się stara podobać Maryni; — tém bardziéj, że ta chęć podobania nie przechodziła prawie nigdy granic prostéj grzeczności.

Jedna tylko osoba więcéj niż ktokolwiek inny zwracała uwagi na całe postępowanie Bohdana. Był

to p. Grzegórz, który zdawało się wszystkich starań dokładał, aby odkryć i przeniknąć wszystkie stosunki młodzieńca. — Ile razy Bohdan list wysłał na pocztę lub z poczty odbierał, p. Grzegórz nieomieszkał zatrzymać posłańca, aby przynajmniéj adres przeczytać, lecz widać z nazwiska nieznajomego sobie nie mógł ani razu żadnych wyprowadzić wniosków. — To ciągłe tajemne śledzenie musiało go w końcu naprowadzić do odkrycia tego, czego żądał.

Pewnego dnia było to przed wieczorem, młody Bohdan zostawał sam jeden w starym pałacu, w tym samym pokoju, który mu od początku na mieszkanie przeznaczono. Stary Jastrzębski wyszedł w pole — Kazimierz wyjechał do najbliższego miasteczka. — Młodzieniec widać korzystał z téj chwili, aby użyć kilka chwil samotności — siedział przy stole oparłszy głowę na ręku, zdawał się bić z myślami, czasem marszczył brwi, czasem zrywał się nagle i chodził po pokoju nierównym krokiem, zatrzymując się przed drzwiami prowadzącemi do dalszych komnat, lecz te drzwi, które tyle razy próbował otworzyć, zawsze były zamknięte. Usiadł w końcu, wziął pióro i zaczął pisać list następujący:

Kochany Stryju!

Od miesiąca blisko znajduję się w domu zabójcy mego ojca, mieszkam w pałacu naszym, który stoi pustkami, piszę do ciebie w pokoju, w którym nieraz igrałem na kolanach drogiego ojca. — Przybyłem w miejsca rodzinne z sercem rozdartém — karmiłem w duszy słuszną zemstę, którą we mnie wpoiłeś.... a dziś kochany stryju czuję, jak postanowienie moje słabnie, doznaję téj słabości, która się w serce wkrada, kiedy mam ugodzić bezbronnego wroga. — Ten Jastrzębski ma córkę....

W tém miejscu młodzieniec przestał pisać na chwilę, czoło podparł dłonią, i patrząc w ogród, zdawał się pogrążać w dumaniu, niedługo śród ciemnego szpaleru mignęła sukienka Maryni. Bohdan rzucił pióro, porwał się od stołu, i zostawując drzwi otwarte, wybiegł szybko do ogrodu, nie postrzegając, że z górnego piętra pałacu, gdzie był skład sprzętów gospodarskich, schodził p. Grzegórz z kluczami w ręku. — Starzec zatrzymał się, popatrzał za odbiegłym — zajrzał przez otwarte drzwi do pokoju Bohdana, wzrok jego zatrzymał się na stoliku gdzie leżał list niedokończony, zastanowił się na progu, i po chwili szybko przystąpił do stołu — zaledwie przeczytał pierwsze wyrazy, zacisnął pięście....

— To Linowski — wiedziałem — zawołał, a czoło jego marszczkami zorane, pokryła jakaś dzika ponurość — wyszedł z pałacu, a spiesząc ku dworowi. — Jastrzębski, mówił do siebie, musi się dowiedzieć kogo ma w swoim domu.

Tymczasem Bohdan, który był wybiegł do ogrodu, zbliżył się ku altanie, co leżała na końcu szpaleru, przez gęste krzewy, które już jesień przerzedzać zaczęła, doleciało go kilka urwanych tonów cicho nuconéj piosenki. — Młodzieniec westchnął i wolnym cichym krokiem zbliżał się do wejścia. Młoda Marya nie ujrzała przybyłego, była zajęta zestawianiem doniczek z kwiatami, które już na pół z liści ogołocone, stały rzędem obok siebie. — Dziewica dotknęła każdego kwiatu, obejrzała wszystkie, jakby się smucąc nad ich bliskim zgonem, po chwili lekka, pusta, pobiegła ku drzwiom altany i wpadła prawie tuż na młodzieńca. — Marynia krzyknęła zarumieniona. — I oboje stali chwilę z oczami spuszczonemi ku ziemi, nie mówiąc nic do siebie. — Dziewica chciała odejść. — Bohdan ją wstrzymał, odzywając się nieśmiałym głosem.

— Panno Maryo, chciałbym z panią parę słów pomówić.

Dziewica już skłaniała usta do uśmiechu — lecz ton uroczysty, z jakim młodzieniec starał się wymówić te słowa, mimowolnie wniknął jéj do duszy — spojrzała na niego i po chwili cichym odrzekła głosem:

— Słucham pana....

Młodzieniec zaczął nieśmiało....

— Panno Maryo — niedługo opuszczę dom twoich rodziców — przed mojém oddaleniem chciałbym pani wyjawić to, co kamieniem cięży na mojém sercu, i tak z czasem odkryje się wszystko, ludzie mogą o mnie wiele złego powiedzieć — ale w oczach twoich panno Maryo, która masz serce tak czyste, tak szlachetne, chciałbym się wytłomaczyć, usprawidliwić.

Marya patrzała na młodzieńca z wyrazem przestrachu, jakby nie mogąc zrozumieć znaczenia słów jego.

Tymczasem młodzieniec mówił daléj głosem coraz bardziéj drżącym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jałmużna.

Trudno zaiste uwierzyć co dajemy ubogim i w jaki sposób im dajemy.

Zdawałoby się, że dawać jałmużnę wcale nie jest powinnością — że koniecznie potrzeba jakiegoś pozo-

ru. — Przyznaję, że w świecie sadzą się na pozory i wynajdują rozliczne. Jedni tańczą, drudzy jedzą, grają w loteryę, śpiewają, bawią się; lecz z tych wszystkich usiłowań cóż zostaje jeżli nie okruchy, a okruchy nie pierwszych potrzeb człowieka, lecz zbytków.

Waszemi to rozrywkami, okruszynami wspaniałych stołów, a nie chlebem powszednim żywicie ubogiego.

Czego sami nie możecie spożyć, to idzie na ubogich.

Coby i tak wyrzucono na śmiecie, na ubogich.

Co wam zbywa, na ubogich.

Krotko mówiąc, wszystko dajecie ubóstwu, a najmniéj pieniędzy.

A przecież w naszym języku wyraz ubogi tak wzniosłe ma znaczenie, że dając mu, jedno cobyście nieśli samemu Bogu ofiarę.

Bo ubodzy są jak ptaszkowie polni, dziećmi Boga; on ich cudownie żywi i opatruje na téj pięknéj ziemi, która jakby nie dla nich stworzona.

A bliźniż ich, a ludzie? ci tylko przemyśliwają, aby lada czém utulić mimowolny krzyk sumienia.

Jednakże jest pewien rodzaj jałmużny, któréj nie skąpią nawet sami skąpcy i podobni im: ekonomiści, filantropi, reformatorowie społeczeństw i ci wszyscy, co uważają wsparcie dane biednemu za rodzaj zachęty do występku, co obawiają się zapewne, aby dobre nie stało się zarazą powszechną, co nakoniec wynajdują dowcipne środki zniesienia jałmużny, niestawiając nic na jéj miejscu, a żebrzącemu zawsze płacą gotową maxymą: zdrów jesteś i silny, pracuj jak drudzy.

Na to mógłby trafnie odpowiedzieć żebrak: pracujcież sami moi panowie. I zaiste, jakże ma pracować, kiedy wy nic nie robicie? pytam, na czém zasadza się prawo, któreście sobie nadali, prawo uwalniające was od pracy, jeżeli nie na fałszu stosunków społecznych?

Zresztą, jeżeli mówić i radzić nie trudno, pracować za to daleko trudniéj. Cóżbyście n. p. poczęli, gdyby dzisiejszy wasz obiad przyszło wam okupić pracą ramienia lub rozumu, nieprzyzwyczaiwszy ani jednego ani drugiego do żadnéj roboty, musielibyście usychać z głodu.

Dlatego dawać jałmużnę inaczéj potrzeba, a dając, inaczéj mówić, niż mówią i czynią bogacze. Teorye ich trącą samolubstwem i próżnością. Dawać jałmużnę, nie jest to pozbywać się, ale ujmować sobie: a wy zwykle rzucacie z pogardą, tak, że ubogi nie przyjmuje ją, ale zbiera na ziemi.

O tym smutnym datku dla ubóstwa nie należy wam myśleć wtedy, gdy wasz majątek w pełném zabezpieczeniu, lecz wprzody. Za dawnych czasów ojcowie i matki nasze robili sobie religijną zasługę z oddawania majątków na ubóstwo, z nawiedzania niskich chat, dzieląc się prawie powszednim chlebem. O takich miłosiernych osobach wspominają licznie kaznodzieje i kronikarze nasi; a oprócz tego, ileż to przeminęło zasług cichych i skromnych o których nikt nie wspomniał. Nie przeczę, że i dziś to samo dziać się może, ale występuję tylko przeciw zwyczajom, które z religijnego obowiązku zrobiły niejako modę, ubierając ciche chrześciańskie poświęcenie się w szatę balową. Występują przeciw dawaniu jałmużny; dla tego, że dzielić się a nie dawać potrzeba; dzielić się kawałkiem chleba, tak jak zwykle ubodzy dzielą się z uboższymi. Prawo bowiem do powszedniego chleba jest tak wspólném, jak prawo do słońca, do powietrza, do śniegu i deszczu.

Ci, którzy dają, dopełniają obowiązku; ci co przeciwnie czynią, uchybiają obowiązkowi, najpierwszemu ze wszystkich. Nie należy mieszać jałmużny z miłosierdziem; miłosierdzie jest miłością bliźniego, jest niejako jałmużną serca, dawaną każdéj opuszczonéj istocie; miłosierdzie liczy się do cnoty. Przeciwnie jałmużna, czyli podział nierówny posiadanych pieniędzy z tym, który ich nie ma, nie może się nazywać cnotą, i nazwałbym ją raczéj długiem, należytością, obowiązującą wszystkich wzajemnie.

Nikt temu nie przeczy, a jednak każdy się uchyla; rządy nawet mało dają baczenia, lubo rząd nigdy nic nie może stracić na hojności; a nawet rozrzutności dla ubóstwa. Grosz bowiem rządowy wyrzucony oknem, upada przed drzwiami i przez te same drzwi powraca wewnątrz. — Bogactwem kraju nie jest ani oszczędność, ani skąpstwo, ale porządek. Śmieszna dziś marzyć o równości majątków, stanów i t. p. — lecz marzenie o równości chleba, wcale nie jest śmiesznością. W ucywilizowanych narodach pełno jest praw przeciw ubogim, a bardzo mało za ubogimi. Wjeżdżając do jakiego miasta, czytasz na tablicy wielkiemi literami: tu żebrać niewolno — co na jedno wychodzi, że tu niewolno dawać jałmużny. Czy jest jakie prawo nakazujące dawać jałmużnę? Podobne tablice i słupy powinnyby zdaniem mojém służyć za pręgierze dla tych, którzy tak szkaradny pomysł wprowadzili w życie.

Cząstka przeznaczona dla ubogich niech raz będzie postanowioną; raz, choćby w drobnéj ilości, trudno bowiem nie uledz egoizmowi, nawyknieniom, mniemanym potrzebom bogatych, które z każdym dniem

rosną. Niedawajcie dla oczu świata, ani że was uszy bolą na krzyk nędzy, ani z dobroci serca, lecz w skutek zmuszającego prawa. Życie bliźniego, nędzarza, brata, nie powinno wisieć na łasce czyjejkolwiek, nie powinno zależeć od kaprysu, ani od wspaniałości; tu rządzić musi konieczność.

Dzisiaj tyle a tyle stanowią praw różnorodnych, a o tak drobném zapomniano, to nigdzie żaden się głos otwarcie nie podniósł. A jednakże gdyby takie prawo stanęło, miasto bezużytecznego ubóstwa, mielibyśmy ubóstwo pożyteczne; człowiek niespodlony dla głodu, zamiast trawić czas na żebractwie, obróci go na pracę; tak dalece, że obrachowawszy, możnaby dowieść nawet liczbami, iż podatek, którzyby ciężył nieznacznie na majętnych, oswobodziłby ich na zawsze od tego wroga społeczeństwa, nazwanego ubogim, i raz na zawsze usunęłoby się niebezpieczeństwo mogące ztąd zagrażać.

Wiem, coby można temu wnioskowi zarzucić: oto stawiając przykład Anglii i niebezpieczeństwo pochodzące z ukonstytuowania żebractwa, któreby się stało ciężarem państwa. Lecz wiemy też i o tém i moglibyśmy dowieść, że organizacya społeczeństwa w Anglii zasadza się na zupełnie innych podstawach niż u nas, tak, iż co jest zgubném dla Angli, dla nas może być zbawienném; wreszcie co do formy, jako nic nie masz stałego na świecie, tak też każda rzecz musi podlegać biegowi postępu, który powinien prawodawca przewidzieć. Co zaś do tych, którzyby mogli się obawiać, iżby to miłosierdzie przymuszone, publiczne, nakazane, mogło zamknąć źródła osobistemu uczuciu miłosierdzia, odpowiem, iż obawa ich płonna. Na nieszczęście! miłosiernym uczynkom zawsze zostanie otwarte pole — i dobry człowiek zawsze będzie lepszym niż najlepsze prawo, albowiem prawa nie są pisane dla sprawiedliwych, lecz dla występnych.

Ale gdzież są ci ubodzy? — zarzuci kto — gdzie ich szukać? — jak poznać? po jakich znakach? — Ubodzy są wszędzie, tysiączne ich rodzaje; ubodzy gnieżdżą się w najlichszych zakątkach; ubogich znajdzie i po salonach.

Śmieszny byłby to zarzut, jednak odpowiadam nań: wspierajcie tych naprzód co gniją w nędzy; a co do drugich, czekajcie aż się odezwą, a raczéj, wyszukajcie ich sami. Do kogoż to, jeśli nie do społeczeństwa należy, i do tego, co reprezentuje społeczeństwo, to jest do rządu? Jeżeli nie najdziecie ubogich, dowiedziecie przez to niedołężności waszéj, i jeszcze ważniejszéj rzeczy, że nie umiecie uorganizować i utrzymać społeczeństwa przez rozdzielenie mu wsparcia i pracy. Rozdział pracy — wielkie pytanie! póki czas po temu, należy je rozwiązać.

Zresztą, ażeby małym przykładem dowieść jak dziś zrozumianą jest jałmużna, powiem co następuje: Pewnego dnia płaciłem coś w jednym bogatym sklepie; kupiec, który zdawał się być bardzo przyzwoitym i ukształconym człowiekiem, zwrócił mi grosz śrebrny który mu dałem, i rzekł: „tego grosza nikt nie weźmie — trzeba go dać ubogiemu.“

Słowo to nie malujeż lepiéj niż wszystkie rozprawy, co to jest jałmużna tegoczesna? — i że wszystkie kazania i rozprawy na długi czas jeszcze żadnego nie przyniosą owocu, jeżeli społeczeństwo nie będzie niejako zmuszoném do pełnienia tego chrześciańskiego obowiązku, jak musi pełnić inne powinności włożone na siebie.

ROZMAITOŚCI.

Moda nie tylko panuje w ubiorach, ale także przechodzi do życia codziennego. W eleganckich salonach widzimy teraz rozmaite grzebienie porozkładane, a damy niemi zaczesują w obec licznych gości swe włosy. Przed dwoma laty niktby się nie poważył tego uczynić. Powiadają, że znów jeden przesąd poszedł w niepamięć i można sobie trefić włosy publicznie. Nieraz i mężczyzni chwytają za grzebienie i zaczesują niemi swe wąsy i brody. — Dawniéj każda dama trzymałą się prosto i sztywno, była to modna tortura. Dziś żąda moda wolności, swobody w noszeniu ciała, głowy i ramion, głowa może się pochylić naprzód, na bok, w tył, ramiona w górę, wszystko to jest piękne, urocze, byle z gracją zrobione.

— W przeszłym roku, podczas processyi w małém miasteczku węgierskiém Kleinzell, zgubiła wdowa Witrelewska maleńką córeczkę w natłoku. Mimo usilności niemogła jéj znaleść. W tym roku znów poszła na processyą do tego miasteczka, wtém przychodzi dziewczątko bez oczu prowadzone przez babę do wdowy i prosi o jałmużnę. Jakaż boleść matki, gdy obaczyła swe dziecię bez oczu, chwyta je i uprowadza, lecz baba nie pozwala i wydziera jéj dziewczynkę, mówiąc, że do niéj należy. Nakoniec przy pomocy policyi odebrała wdowa Witrelewska swą córeczkę, a z opowiedzenia jéj pokazuje się, że stara żebraczka porwała ją podczas processyi, wyłupiła oczy, by litość obudzała przechodniów. W Węgrzech czeka ją za tę zbrodnię tłuczenie kołem.

— Pewien uczony chemik J. Liebig słusznie powiada w swych listach, iż większe lub mniejsze zużywanie mydła może posłużyć za miarę dobrego bytu i cywilizacyi narodów, ponieważ zużycie tego środka oczyszczającego nie zawisło od mody, lub połechtywania podniebienia, lecz od uczucia piękna, wygód i zamiłowania czystości. Kraj, który więcéj potrzebuje mydła niż drugi, okazuje przez to, że stan jego mieszkańców zewnętrznie przynajmniéj jest bogatszy i ukształceńszy, aniżeli tych, którzy mniéj potrzebują mydła. Czystość zewnętrzna dowodzi nietylko zewnętrznéj ogłady, ale nawet usposobienia nieraz ducha i serca. Ciało człowieka powinno stać się świątynią Boga, tak mówił w przeszłym wieku jeden teolog, a nawet utrzymywał, że nieczysty człowiek nawet nie jest chrześcijaninem. Widzimy nieraz chałupy, w których bieda mieszka, a w nich największa czystość panuje, aż miło oku pojrzeć na to ochędóstwo, chętnie wchodzimy do pomieszkań tych ludzi i mamy do ich rzetelności zaufanie, tymczasem przeciwnie nieraz bardzo piękne pałace mieszczą w sobie brudy, na które wzdrygamy się i odchodzimy z niesmakiem. Co się tyczy historyi mydła, znajdujemy już w starym testamencie u Jeremiasza, rozdział 2. w. 22. i u Malachiasza rozdz. 3. w. 2. w których jest wspominane mydło. Za czasów Pliniusza uważano Gallów starożytnych, jako pierwszy naród na zachodzie, który wynalazł i używał mydła. (Plinius H. n. XXVIII. 12, 2.)

MODY.

Paryż, dnia 28. Września 1846.

Kilka chłodnych wieczorów ostrzegło, iż czas nadszedł do zamienienia ubiorów lekkich, mantylli muślinowych i szali koronkowych na jedwabne suknie, na mantylle aksamitne, szale kaszemirowe i na atłasowe lub aksamitne kapelusze. Handle mód także opatrzyły się już w cieplejsze odzienie. Widzieliśmy wiele przedmiotów na zimę przysposobionych np. kapelusz aksamitny w kolorze wanilii dwojako-połyskujący, był maleńki, jak kapotka, ale krótko krojony nad uszami. Nad brzegiem obwodu znajdowała się czarna koronka, która w tyle stanowiła pewną osłonę szyi. Z boku ozdobiony był wielkim kwiatem, różą morską z aksamitu i podobnemi liściami jak kapelusz. Kapotka z atłasu niebieskiego, białym tulem wyłożona, który tworzył pasy i kwiat niebieski lekki ją zdobił. Inny kapelusz aksamitny był wystrojony palmami w kolorze kapelusza, palmy zaś oszyte były fręzlą z piór. Ponieważ palmy jedne na drugich leżały, przeto fręzle wyglądały, jako opuszczone pióra.

Zupełnie innym strojem głowy był kapelusik o małym obwodzie z brunatnego aksamitu z gazą złocistą cały obwód otaczającą, białe pióro słaniało się na lewy bok.

Czepki są bardzo małe, ozdobione z boku koronkami lub kwiatami.

We wszystkich pracowniach modnych zatrudniają się robotami płaszczy. Robią wizytki, ale te są daleko obszerniejsze, aniżeli przeszłoroczne i zdobią je pasamonami, przyćmionemi burtami i fręzlami. Ulubionemi będą na każden przypadek palletoty.

Opończe, ktoremi się odziewają przy wyjściu z teatrów, koncertów, są powiększéj części ułożone we fałdy, tak jak dawne, tylko inne są u nich kapiszony. Mają małe rękawy, wytwornie ozdobione i zawsze są w jasnych kolorach, niebieskie, różowe, białe lub jasno-zielone, z repsu lub atłasu, z afrykańskiego aksamitu lub atłasu. Piękną są ozdobą białe pasamony, wyglądające z powodu lekkości nakształt koronek.

Piękny płaszcz na wyjście ujrzeliśmy z ciemno niebieskiego aksamitu z dużą peleryną, któréj część przednia tworzyła małe rękawy. Płaszcz i peleryna były haftowane na brzegach jedwabiem tego samego koloru, lecz z innym połyskiem.

Na jesień przeznaczają leksze opończe z włoskiéj kitajki. Niektóre z nich są prosto krajane bez fałd u góry i wyglądają nakształt perskich opończy. Są lekko podszyte, czasem watowane, czasem je wodą lub falbanami, fręzlą lub czarnemi koronkami ozdabiają.

Namienić nam tu wypada, że szlafroczki jesienne, czyli są one z kitajki, czyli z nankinu lub cachemirienne, nie są ozdobione połami, ale staniki u nich są okrągłe i lekko sztywne.

Objaśnienie ryciny.

1. Czepek koronkowy orzucony wstążkami. Suknie z kitajki włoskiéj z otwartym stanikiem. Wizytka z czarnych koronek.
2. Strój głowy, z aksamitu złotem tkanego, suknia z jedwab-muślinu. Berta koronkowa.
3. Czepek koronkowy. Suknia bareżowa. Chusteczka batystowa, oszyta koronką.

Redaktor *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*